OPOWIEDZIANE

ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ IPN

Stanisław Srokowski

część VI z VII

Sygnatura notacji: **N0344**
Data urodzenia: **29.06.1936 r.**
Data nagrania: **26.06.2023 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**
Czas nagrania: **część I: 60min, część II: 58min, część III: 55min, część IV: 44min, część V: 60min, część VI: 50min, część VII: 54min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

TRANSKRYPCJA

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Srokowski: Jest czerwiec, tak, jest czerwiec 1982 roku, Kornel Morawiecki zakłada „Solidarność Walczącą", informacja o pierwszych numerach „Solidarności Walczącej" do mnie natychmiast dociera. A dlaczego dociera? Dlatego że Winciorek z Wilczyna jest jednym z działaczy „Solidarności Walczącej". Jednym z organizatorów tego środowiska „Solidarności Walczącej" na swoim terenie. U niego się drukuje tajne ulotki, u niego wychodzą tajne gazetki. I on jest ze mną w kontakcie. I on mi mówi, słuchaj, no zróbmy coś tutaj jeszcze, w „Solidarności Walczącej". Co możesz zrobić? Ja mówię, no co ja mogę zrobić? Ja mogę tylko w tym miejscu... Tutaj on przechodził, tu, siadał na tym fotelu. Ja mówię, mogę tutaj zrobić punkt kolportażowy. Tylko tyle w tej chwili mogę zrobić. I rzeczywiście, natychmiast po tym pierwszym czy drugim numerze „Solidarności Walczącej", który mam przed sobą, mówię, że tu zakładamy „Solidarność Walczącą", punkt kolportażowy, a ty mi, Rolandzie, dostarczaj gazety, które tam masz u siebie, a także kontaktuj mnie z ludźmi, którzy mogą z innych źródeł te gazety dostarczać. I to jest mój początek związku z „Solidarnością Walczącą". Jeszcze wtedy Kornela osobiście nie znałem, jeszcze wtedy nie znałem Hani Łukowskiej-Karniej która jest znakomitą, jak się później okazało, działaczką „Solidarności Walczącej", ale już wiedziałem o Kornelu, że to on jest przywódcą, że on jest bardzo radykalny, czytałem te wszystkie jego artykuły, które na pierwszej stronie „Solidarności Walczącej" były, i widziałem, w jakim kierunku to idzie. Tak że ja byłem jak gdyby w dwóch rzekach równocześnie, które, te nurty, mnie porwały, „Solidarność Chłopska" i „Solidarność Walcząca". A zwornikiem tego był Winciorek, a później jego syn, Wojtek Winciorek, który był też działaczem „Solidarności Walczącej" przy Kornelu. Bardzo aktywny wtedy młody chłopak. No i tu się zaczyna moja więź z „Solidarnością Walczącą", a równocześnie jestem bez pracy, ponieważ moja gazeta zostaje zamknięta, „Wiadomości" zostają zamknięte...

Artur Kłus: Pan przechodzi tę weryfikację...

Stanisław Srokowski: Tak. Teraz proszę posłuchać. Pracy nie mam, szef mówi, że pracy nie masz i już nie wiadomo, czy w ogóle będziesz miał jakąkolwiek robotę, gazety nie ma, nie mam co robić, nie mam co jeść, co najgorsze, nie mam co jeść, jesteśmy dość głodni, jesteśmy biedni, i wtedy okazuje się, że chłopi z tej „Solidarności Chłopskiej" stanęli na wysokości zadania i nawet mi zaproponowali: „Słuchaj przeprowadź się do nas na wieś, będziemy cię tutaj karmić, pomagać i tak dalej, i tak dalej". Ja mówię: „Może nie przeprowadzę się, ale jak możecie, to kromkę chleba dajcie mi". I rzeczywiście dali mi tę kromkę chleba, chłopi. To była prawdziwa solidarność. Tam jajka jakieś, coś tam przynosili zawsze i w momencie, kiedy byłem jeszcze w bardzo trudnej sytuacji, to trwało dość długo, bo byłem bez pracy prawie dwa lata, nie miałem żadnej roboty. No i zacząłem tę działalność podziemną, z Kornerem związaną głównie, bo tutaj „Solidarność Chłopska" w mniejszym stopniu i nie tak radykalna, bo chłopi jednak nie mieli tego ostrza, tej siły, nie zorganizowali się na taki sposób jak Solidarność Kornela, która natychmiast wyobraźnię społeczną pochłonęła, bo było wiadomo, że jest taka struktura, taka grupa, która ma charakter polityczny, ale dla mnie ona miała charakter moralny. Bo ja po raz pierwszy usłyszałem od kogoś z Solidarności generalnie, który nie mówił jakimiś takimi miękkimi, lekkimi zdaniami, tylko mówił: „My chcemy komunizm obalić. To jest system, który należy zniszczyć". „Trzeba obalić komunizm nie tylko w Polsce, ale i w całym obozie". To mi imponowało. To było dla mnie fenomenalne. To była taka wielka moralna dźwignia, która bardzo mnie wzmocniła, i wtedy, kiedy tutaj już i Winciorek ojciec, i Winciorek syn, i Helski , i inni dostarczali mi tę bibułę, te różne dokumenty podziemne, to ja się czułem pewnie. Czułem się pewnie, bo czułem, że tam jest ten duch wielki, który za mną stoi, czyli ta „Solidarność Walcząca". No i to tak trwało. 1982, 1983, 1984 rok. Kornela ciągle jeszcze nie znałem osobiście. Natomiast jeżeli idzie o pracę, to w 1983 roku otrzymuję sygnał z Lubina. Tam zakładają gazetkę przyfabryczną, gazetkę zakładową. „Polska Miedź" się nazywa. I pytają, czy ja bym przyjął u nich pracę. Ja mówię: „A czy wiecie, w jakiej jestem sytuacji? Zostałem wyrzucony z roboty. Miejcie to na...". „Nie, my tutaj prowincjonalizm, daleka prowincja, my się zajmujemy tylko zakładem pracy, żadna polityka nas nie interesuje. Niech pan do nas przyjdzie". „Jesteście pewni?" – „Proszę przyjść do nas". „No a jak ja przyjdę do was, kiedy ja mieszkam we Wrocławiu?. A do Lubina to jednak te dwie godziny jazdy trzeba". „Ale to będzie tygodnik, tak że będzie pan nie co dnia, a dwa razy, trzy razy w tygodniu najwyżej". Byłem bezrobotny, musiałem się zgodzić, nie miałem innego wyjścia. No i zacząłem pracę w Lubinie. I to było już zabezpieczenie mojej materialnej strony. I tam, w Lubinie, okazało się, dość szybko mnie rozpoznali chłopcy z podziemia, bo się zaczęli zgłaszać do mnie. No i tam był i taki kolejny wątek, że ja prowadziłem swoją działalność z jednej strony tę dziennikarską, pisałem o kulturze tamtego regionu, ale z drugiej strony wykonywałem to zadanie, które wynikało z charakteru tego mieszkania, czyli kolportaż gazety. To, co mnie dostarczał Winciorek i inni, to ja z kolei przerzucałem tam do moich różnych znajomych, do górników głównie. I poznałem tam paru młodych górników, którzy włączyli się do tego i pomagali mi to rozprowadzać. Był taki pan... Zapomniałem jego nazwiska, pamiętam jego imię, Jan, taki pan starszy już, który był związany z Kresami, który przyszedł do mnie i mówił: „Ja panu pomogę", bo wiedział, że ja tam coś robię. To był kolejny wątek w moim życiu. Tak że Lubin, Wrocław Lubin. Natomiast żeby dokończyć ten wątek z gazetą, chyba w styczniu albo w lutym 1982 roku, po stanie wojennym, zaczynają badać środowiska dziennikarskie. Warszawskie ośrodki zaczynają badać środowiska dziennikarskie, kto czym się zajmuje, jest to, co pan nazwał przed chwilą, sprawdzanie, kto kim był. Weryfikacja dziennikarzy. No i ja przychodzę na tę komisję weryfikacyjną, siedzą bonzowie tam z komitetu partii, z redakcji, z wydawnictwa, skądś tam jeszcze,

cała grupa, i to jest taki dość komiczny moment, bo oni zadają mi pytania... Wtedy... opornik, tak, były takie oporniki tak zwane, i ja nosiłem oporniki publicznie. I pytają mnie, dlaczego ja nosiłem te oporniki. „Przecież pan jest dziennikarzem, pracował pan na rzecz rozwoju naszego systemu, a nosił pan opornik"? „Ja nosiłem, bo byłem w Solidarności, przecież wiecie o tym". „No tak, no ale nie musiał pan demonstrować tego". Ja mówię: „A czy ja mogę wam zadać pytanie?". „Ale jak to nam? To my jesteśmy od tego, żeby panu zadać". Ja mówię: „Ale ja chcę wam zadać pytanie. A powiedzcie mi, czy waszym zdaniem", bo ja się zajmowałem kulturą i oświatą, „czy waszym zdaniem kultura i oświata na wsi", bo ja się tym głównie zajmowałem, jeżeli idzie o region, o Wrocław też, ale region głównie, „wypełniała oczekiwania wysokiej kultury? Czy chłopi mieli dostęp do książek, do literatury dobrej, czy byli dobrze zorganizowani kulturowo?". „A dlaczego pan zadaje takie pytanie?". „No dlatego, że ja się tym zajmowałem. I chcę wam powiedzieć, że kultura była na bardzo niskim poziomie i ja się tym zajmowałem, i ja to krytykowałem. Rozumiecie, dlaczego krytykowałem? Bo źle rządziliście po prostu. Źle zarządzaliście kulturą i ja się tym zajmowałem. I dlatego ten opornik. To jest opór, opór przeciwko takiemu stanowi". W każdym razie ja im zadałem wtedy kilkanaście pytań tego typu, no to oczywiście nie miałem miejsca, nie przeszedłem przez weryfikację, później otrzymałem dokument IPN-u, który zaświadcza, że nie przeszedłem weryfikacji, ale jak nie przeszedłem przez weryfikację, to wiadomo, nie ma miejsca dla mnie w żadnej gazecie, chyba że w gazetce zakładowej. No. No i w tej gazetce zakładowej miałem robotę. I tak to trwało do 1980... Do którego? 1989 rok. W międzyczasie, i tutaj może ten wątek z Kornelem jest ważny, ja dojeżdżałem mniej więcej dwa, trzy razy do Lubina, żeby zbierać materiał, żeby przygotowywać teksty, żeby organizować tę pracę redakcyjną, no i jak dojeżdżałem do Lubina, rano, o godzinie, powiedzmy o godzinie8:00 czy 9:00, to wracałem zwykle o godzinie 12:00 albo czasami o 1:00 w nocy, bo siedziałem tam długo, trzeba było rozmawiać z ludźmi, trzeba przeprowadzać wywiady i tak dalej, i tak dalej. I któregoś dnia przyjeżdżam do domu, to była druga połowa lat 80., 1986 może, 1985, gdzieś tak, przyjeżdżam do domu, żona mi otwiera drzwi, tutaj, w tym domu, w tym mieszkaniu, i jest taka dość podekscytowana. Ja mówię, co się dzieje? A ona mówi: „Wiesz, kto u nas był? Kornel". Ja mówię: „Jak to Kornel był?". „No Morawiecki był u nas". „Kornel Morawiecki był?". Nie wierzyłem po prostu. Bo ja się z nim nie umawiałem. A to Kornel, jak to Kornel, on swoimi drogami chodził, jak kot. I pojawił się tutaj. No i odbył z Marią rozmowę, popytał, gdzie ja jestem, ona powiedziała, że jestem w Lublinie, bo tam... a, no to, to, to, no tak. A on już wiedział o mnie, bo Winciorek komunikował się z nim i umawiał się z nim na spotkanie ze mną, no ale jakoś tam do tego spotkania nie mogło dojść, więc Kornel po prostu postanowił tutaj przyjść. No i pojawił się tutaj, w naszym domu. Żona mówiła, że pół godziny przeglądał książki. Trafił na jedną z moich książek, mówi: „Ja ją zabiorę, bo chcę ją poczytać", bo zobaczył, że coś tam jest, co go interesuje. I to było spotkanie Kornela z moim domem, ale jeszcze nie ze mną. Później się okazało, że wtedy, kiedy Kornel był w moim domu, to tak dla tego, jak działała Solidarność, zawsze zabezpieczona znakomicie. Wtedy, kiedy Kornel był tutaj, Hania stała pod domem i obserwowała, czy ktoś tutaj za Kornelem nie wchodzi. Proszę zwrócić uwagę, jak bardzo pilnowali siebie ludzie „Solidarności Walczącej", żeby jakiś ogon, ktoś tam nie szedł. Dopiero, kiedy Kornel wyszedł, Hania już była, że tak powiem, gotowa z powrotem do tego, żeby razem wrócić gdzieś tam, gdzie mieli swoją siedzibę. To był Kornel. I ta wiadomość mnie bardzo ucieszyła, że Kornel... żona powiedziała, że chce się ze mną zobaczyć, i że któregoś dnia jeszcze raz tutaj przyjdzie albo umówimy się na zewnątrz. No i w ten sposób ja Kornela poznałem, w tej chwili nawet nie potrafię powiedzieć dokładnie, czy to było kolejnego dnia tutaj w domu, czy spotkaliśmy się na zewnątrz. To już gdzieś mi zamazał się ten obraz. W każdym razie spotkaliśmy się z Kornelem i od tego momentu już Kornela znałem osobiście.

Artur Kłus: A książkę, którą pożyczył, oddał?

Stanisław Srokowski: Książki do tej pory mi nie oddał. Książkę zabrał. Mogę państwu wygłosić hymn pochwalny, który Kornel wygłosił wtedy po przeczytaniu fragmentów tej książki, ale później to potwierdził już w rozmowie ze mną, bo później oczywiście już przychodził do mnie wielokrotnie, dziesiątki, setki razy był w tym domu i rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, projektowaliśmy i tak dalej, i tak dalej. Ale wtedy Kornel powiedział o tej książce: „To jest jedna z najważniejszych europejskich książek". To Kornel powiedział. To była książka o starym pokoleniu Polaków.

Artur Kłus: Duchy dzieciństwa?

Stanisław Srokowski: Duchy dzieciństwa, tak.

Artur Kłus: A to jak już jesteśmy przy tym Kornelu, poznał go pan i jakby pan powiedział, kim był Kornel dla komunistów, a kim był dla pana, dla środowiska „Solidarności Walczącej"?

Stanisław Srokowski: Ja myślę, że dla komunistów Kornel był wielkim zagrożeniem. Potężnym zagrożeniem. Bo Kornel był przywódcą, szpicą, ostrzem na najbardziej radykalnej politycznej organizacji podziemnej, drugiej takiej w Europie nie było, w Europie całej. Więc komuniści się bali go jak ognia. Potem z dokumentów wiemy, z dokumentów IPN-u, że Kiszczak całą armię swoich urzędników przeciwko Kornelowi kierował. Cała bezpieka... Nawet był jeden taki rozkaz, że zrobić wszystko, żeby tego Kornela znaleźć i zamknąć, i wsadzić do więzienia. Więc Kornel był dla nich bardzo niebezpieczny, bo to była, tak jak oni nazwali, zaraza, która rozsiewała się po całym kraju. Bo „Solidarność Walcząca" stała się coraz bardziej popularną, jeżeli mówimy o piśmie, gazetą, a ruch coraz bardziej awangardowy, coraz bardziej radykalny i coraz bardziej niebezpieczny, i porywał masy. Ja pamiętam demonstrację we Wrocławiu, której się bał Frasyniuk i cała jego ekipa, tutaj bali się tego, natomiast Kornel porywał za sobą rzeczywiście dziesiątki tysięcy ludzi. Pamiętam te wielkie pochody, kiedy bezpieka i milicja nas goniła z tym gazem łzawiącym, kiedy wracaliśmy do domu z czerwonymi oczami, to właśnie robił Kornel, a nie Solidarność. Solidarność tego nie robiła. Ja pamiętam walkę Kornela, i on o tym mówił, z Frasyniukiem, który był tchórzem tutaj dla tej sprawy. Uciekał od tego, bał się tego. A Kornel to robił. Nie jedną demonstrację, ale wiele demonstracji. Pochody, demonstracje, publiczne wystąpienia. Poza tym nie mógł być złapany. Przecież oni sidła stawiali w różnych miejscach, żeby Kornela chwycić, i nie zrobili tego przez długie lata. Dopiero później, w 1987 roku chyba, Kornel został chwytany, przez własną nieostrożność, nawiasem mówiąc. Hania była przeciwnikiem, żeby pójść tam do tej drukarni, w której się znaleźli, a która była na podsłuchu. I Hania odradzała Kornelowi, żeby tam nie iść, bo ona intuicją kobiecą mówiła: „Nie idźmy tam, bo mam wrażenie, że tam jest to niedobre miejsce". Ale Kornel chciał się spotkać tam z drukarzami, bo Kornel był taki, że jak coś postanowił, to już to robił. No i poszedł tam, i tam Kornela zwinęli, w tym punkcie drukarskim, bo tam była drukarnia i punkt kontaktowy „Solidarności Walczącej". W każdym razie Kornel był dla komunistów, zresztą nie tylko dla komunistów krajowych, ale dla komunistów światowych, bardzo niebezpieczny, dlatego że, i tutaj dodam wątek, o którym jeszcze nie mówiłem, że w tym domu spotykali się też antykomuniści ze wschodu. Tu, u mnie. Kornel przyprowadzał przedstawicieli frakcji antykomunistycznych, czy podziemia antykomunistycznego ze wschodu, i tutaj, w tym

miejscu, rozmawialiśmy o tym, co robić, w jaki sposób działać na opinię publiczną w krajach komunistycznych bloku sowieckiego. W Republice Ukraińskiej, Białoruskiej, Litewskiej, Estońskiej i tak dalej, i tak dalej. Ja nawet mam zdjęcie. Jedno z tych zdjęć chyba Solidarności wysłałem, bo Solidarność chyba robiła taki album, ja wysłałem to zdjęcie, gdzie Kornel siedzi razem ze mną i w otoczeniu tych właśnie przedstawicieli środowisk wschodnich.

Artur Kłus: Między innymi Włodzimierz Bukowski był u pana.

Stanisław Srokowski: Również Włodzimierz Bukowski był tutaj, tak, który przyjeżdżał na spotkanie, i Kornel go przeprowadził tutaj do mnie do domu, a później razem poszliśmy na spotkanie, które się odbywało w jednym miejscu. Ale to przede wszystkim ważne były te akcenty z antykomunistami wschodu, którzy przyjeżdżali tutaj. To było bardzo niebezpieczne przecież, a mimo to to robiliśmy. Tak że Kornel był dla mnie... bo pyta pan, czym był Kornel dla mnie. Kornel dla mnie, prawdę mówiąc, był bardziej potęgą moralną. Ja go ceniłem przede wszystkim za postawę moralną, za odwagę, za siłę duchową, za wyobraźnię taką moralną, że on potrafi porywać ludzi przy pomocy swoich decyzji, swojej bezkompromisowości. Uważałem, że na ten czas to ten człowiek jest akuratnie jak gdyby przez Boga wybraną postacią. I jeżeli bardzo byłem związany z ideami „Solidarności Walczącej", to w pierwszym rzędzie przez jego postawę moralną, a w drugim rzędzie przez jego polityczne projekty. Że komunizm trzeba obalić, komunizm trzeba zniszczyć, że to jest system krwiożerczy i tak dalej, i tak dalej. Ale żeby to czynić, trzeba było mieć w sobie potęgę. Duchową. Moralną. I za to Kornela cenię. I do tej pory za to go cenię.

Artur Kłus: I poznał pan też to środowisko, w którym pan też działał, szerzej to omówiliśmy właśnie, bo pani Hanna Łukowska-Karniej, tam też się pojawia oczywiście, chociażby Wojciech Myślecki. Pana kontakty też z tymi osobami są żywe. I jak pan wspomina to środowisko szerzej?

Stanisław Srokowski: Myślecki to chyba się pojawia u mnie w domu, ale nie tutaj, tylko na wsi, bo miałem jeszcze chatę na wsi koło Milicza, w Potaszni. Miałem taki wiejski domek jeszcze w tamtym czasie i tam w lecie spędzałem zwykle kilka tygodni albo miesięcy, kiedy miałem wolny czas. I kiedy tworzyłem ten punkt kolportażowy tutaj, we Wrocławiu, to równocześnie robiłem, a Kornel mi pomagał, bo już wtedy znaliśmy się z Kornelem, w drugiej połowie lat 80., tworzyłem pierwsze, wielkie naprawdę, archiwum „Solidarności Walczącej", na wsi. I to było w Potaszni. W moim pokoju, miałem tam duży pokój, i szafy, które tam miałem, były zapełnione „Solidarnością Walczącą", a także innymi czasopismami podziemnymi, ale głównie „Solidarnością Walczącą". Dopiero później, po paru latach, Kornel i Hania zabrali to wszystko i przewieźli gdzieś tam do swoich obiektów.

Artur Kłus: I jak się nazywała ta wieś?

Stanisław Srokowski: Potasznia. Potasznia, koło Milicza. W tej Potaszni miałem dom i w tym domu było pierwsze archiwum... pierwsze wielkie, bo gdzie indziej też były te archiwa, ale to takie naprawdę wielkie, że z samochodem, czyli z kilkoma samochodami... I między innymi materiały do tego archiwum przywoził mi Kornel z Wojtkiem Myśleckim. Na zdjęciu, które mam i które jest publiczne, które jest na mojej stronie internetowej także, to widać Kornela siedzącego na trawie na moim podwórku i Wojtka Myśleckiego, który stoi obok samochodu, i nawet cień albo nawet fragment

Hani Łukowskiej-Karniej, która też wtedy była tam na wsi. I oni dość często przyjeżdżali. Nawet miałem takie sytuacje dość, powiedziałbym, o charakterze dramatycznym. Jest ciemno, jest noc i nagle ktoś wali do bramy. W nocy. Kto to może być? Otwieram bramę, to Kornel oczywiście. W nocy, godzina 2:00, zjawia się tam na wsi, bo on ma coś bardzo ważnego do powiedzenia. Przechodzi, przywozi tam te swoje bibuły, dostarcza nam, wsiada w samochód i jedzie dalej. Taki był Kornel. Jego nie można było złapać. Bo mówi się czasami o Kornelu, że był niezorganizowany, że był chaotyczny. Ja myślę, że to niezorganizowanie bardzo utrudniało bezpiece dostęp do Kornela. Bo gdyby on był uporządkowany, systematyczny, dokładny, oczywiście on był uporządkowany, systematyczny, dokładny w tym rejonie, który był ważny. Gazety musiały się punktualnie ukazywać i ukazały się regularnie, co do godziny. A miał tych gazet sporo. Ludzi w „Solidarności Walczącej" było w sumie kilka tysięcy ostatecznie, gdyby policzyć wszystkie, mieszkań, w których się ukrywał, było ponad pięćdziesiąt. Tak że on był bardzo dobrze zorganizowany w tym. Ale z drugiej strony w tych kontaktach towarzyskich to nigdy nie wiadomo, czy przyjdzie dzisiaj czy przyjdzie jutro. Umawia się na dzisiaj, przychodzi jutro. To też był jak gdyby taki intuicyjny jego przekaz: „Nie złapiecie mnie, bo nie wiecie nawet, kiedy ja będę". Taki był Kornel. Bardzo go szanuję. Do tej pory jest to dla mnie bardzo ważna postać. Podobnie jak Hania Łukowska-Karniej, którą poznałem krótko po tym, jak Kornela. Szlachetna, dumna, w takim znaczeniu, że odpowiedzialna za to, co czyni, dumna taką dumą Polki. Taka Polka, która szanuje swoją godność, która oddaje swoje życie w sprawie ważnej i która nie rezygnuje z tego, co jest najistotniejsze, z wolności. I to dla niej było ważne. Tak że znałem rzeczywiście Hanię, znałem Kornela, znałem Winciorka, znałem drugiego Winciorka, znałem Myśleckiego. I później tych młodszych, którzy tutaj też przychodzili, młodszych działaczy, którzy się pojawiali w tym mieszkaniu. Chciałem powiedzieć o jeszcze wątku innym zupełnie, z jednego regionu, ale również ważnym, chociaż nie najważniejszym, ale sądzę, że warto go wspomnieć. Mianowicie ja w Lubinie zorganizowałem dla niepoznaki, żeby jakoś przykryć moją działalność podziemną, zorganizowałem taki przegląd co roku poezji miłosnej, „Spotkania z poezją miłosną". I na te spotkania zapraszałem pisarzy z całego kraju raz w roku, którzy zjeżdżali i tam referaty ogłaszali o poezji miłosnej, a przy okazji pracowało się na rzecz, że tak powiem, podziemia. I w związku z tym postanowiłem zainicjować taki tajny, właściwie mały tajny ruch, może nawet to nie był ruch, ale taka organizacja, Tajne Bractwo Literackie. Powstało w Lubinie Tajne Bractwo Literackie, do którego obok mnie należał Adam Ziemianin, bardzo dobry poeta, Józef Baran, bardzo dobry poeta, Bogusław Żurakowski, bardzo dobry poeta i krytyk literacki, Wiesław Kazanecki z Białegostoku, kilkanaście osób zgromadziłem w tym środowisku. Pod przykrywką działalności tej takiej kulturalnej równocześnie... Wprawdzie to ugrupowanie nasze literackie nie miało charakteru takiego stricte politycznego, że będziemy protestować, będziemy wychodzić na ulicę czy coś takiego, ale sam fakt stworzenia Tajnego Bractwa Literackiego, słowo „tajne" już mówiło coś o tym, kim jesteśmy. Czyli nie jesteśmy po tamtej stronie, tylko jesteśmy po stronie tajnej. A więc nieoficjalnej, podziemnej. I to już było coś. I chłopcy, którzy przystąpili do tego, wiedzieli, że uczestniczą w czymś, co jest moralnie dobre, co jest moralnie bardzo ważne. Tak że ten wątek trzeba dopowiedzieć, żeby oddać sprawiedliwość także środowiskom literackim, które jednak tu i ówdzie wchodziły do ruchu podziemnego. Zresztą tych środowisk było w różnych częściach kraju więcej, ale tu daję przykład Lubina, później Jawora, bo w Jaworze pod Legnicą robiliśmy podobne spotkania. W każdym razie taka integracja na płaszczyźnie moralnej miała charakter też polityczny. Czyli byliśmy po tej stronie.

Artur Kłus: Warunki też, w jakich panu przyszło żyć, były trudne?

Stanisław Srokowski: Tak. No tak, ja nie mówiłem na przykład o warunkach materialnych, o bazie lokalowej. Ja nie miałem mieszkania, ja nie miałem komunikacji, nie miałem samochodu, musiałem się poruszać tak, jak to było możliwe, komunikacją publiczną, nie miałem znajomych we Wrocławiu, to wszystko się urodziło dopiero, to wszystko powstawało. Zamieszkałem we Wrocławiu, kiedy przybyłem tam, w 1968 roku w październiku, w mieszkaniu wynajętym, bardzo zimnym, ze swoim przyjacielem, Bronisławem Kamińskim. On już tam wcześniej mieszkał, bo on też został wyrzucony ze szkoły, tylko wcześniej. Zresztą on został wyrzucony, Bronisław Kamiński, za poparcie listów biskupów polskich do biskupów niemieckich. To wtedy był ten taki słynny akt. W każdym razie on już mieszkał w takiej bardzo nędznej dzielnicy, bardzo złej kamienicy, poszarpanej, oblepionej, że tak powiem, starością. I miał taki pokoik bez pieca, i w tym pokoiku gnieździł się, i mówi: „Przyjeżdżaj do mnie, na razie tam zamieszkasz, a później będziemy sobie jakoś radzić". I ja rzeczywiście przyjechałem tam, do tego jego pokoiku, dostawiliśmy jakieś drugie łóżko i w tym jednym pokoiku gnietliśmy się, nieopalonym, bardzo surowym, z oknami szczelnymi, tak że jak zima przechodziła, to albo on chorował na zapalenie płuc, albo ja chorowałem na zapalenie płuc. Pamiętam taki rok, kiedy przeziębiłem się bardzo mocno, miałem zapalenie płuc i cały rok później kaszlałem i miałem duże problemy z płucami. To były bardzo trudne warunki. Nawiasem mówiąc, pensje, które otrzymałem w tym domu dla staruszków, w klubie seniora, to były nędzne. Instruktor taki, no cóż on mógł zarabiać, na tyle, żeby związać koniec z końcem, a trzeba było jeszcze płacić właścicielom tego mieszkania. Tak że to były warunki bardzo trudne. Poza tym specjalnie nikt mi nie mógł pomóc z kilku powodów. Po pierwsze, ciągle jeszcze za mną się ciągnęła ta legnicka legenda tego, którego trzeba tutaj trochę ograniczyć. A po drugie, nie miałem po prostu osobiście wielkich znajomości personalnie. Nie znałem jeszcze środowiska literackiego. I powoli się zacząłem wkręcać od 1968 roku. Zacząłem chodzić do Klubu Związków Twórczych, to takie miejsce, w którym pisarze się spotykali w 1969, 1970 roku, to był początek, ale przy tej nędzy mojej całej materialnej i przy tym ubóstwie znajomości, równocześnie byłem zafascynowany Wrocławiem z innego powodu, dlatego że to było miasto niezwykle intrygujące kulturowo i artystycznie. To był potężny ośrodek odnawiania życia artystycznego i literackiego kraju. Przy tej kulturze socrealistycznej, która panowała do tamtego okresu, kiedy poeci pisali wiersze o Stalinie i o Leninie, o Bierucie, to Wrocław absolutnie się tego wszystkiego odciął. I tutaj właściwie zaczęła się wielka odnowa literatury, przede wszystkim teatru. Tutaj rodził się Teatr Grotowskiego, wielkiego odnowiciela teatru polskiego o światowym zasięgu w słowie międzynarodowej. Tutaj Teatr Pantomimy, święcił wielkie triumfy, tutaj teatry studenckie dojrzewały, tutaj rodziła się poezja lingwistyczna, której byłem jednym z twórców. Przywódcą tej grupy był Tymoteusz Karpowicz. Tutaj rodziła się poezja, którą tworzył Stanisław Dróżdż. To była tak zwana poezja konkretna. W każdym razie różne nurty, nowe nurty, nowe tendencje, nowe zjawiska, nowe obszary w kulturze się rodziły i to mnie fascynowało. Także ja zacząłem powoli wchodzić w te środowiska, ponieważ wieczorami, kiedy już kończyłem robotę, o godzinie 11:00–12:00, w klubie seniora, to z ulicy Dubois szedłem do rynku, to jest stosunkowo niedaleko, i szedłem do Związków Twórczych, żeby tam kolację jakąś zjeść, bo tam nie miałem okazji, i oczywiście przy stolikach tam siedzieli pisarze, artyści, reżyserzy, aktorzy, no to w ten sposób naturalnie poznałem pierwszego, drugiego, trzeciego, piątego i tak się związywały moje kontakty z tym środowiskiem. Poznawałem też tych najwybitniejszych, między innymi Flaszena, Flaszen, taki kierownik literacki Grotowskiego, samego Grotowskiego poznałem tam no i jego aktorów wybitnych, z którymi się zaprzyjaźniłem. Tak że od mniej więcej roku 1970 już właściwie wchodziłem powoli w to środowisko, tak że rozpoznawałem... Ale do tego czasu było bardzo ciężko, bardzo trudno.

Artur Kłus: Poznał pan między innymi Rafała Wojaczka.

Stanisław Srokowski: Również poznałem Rafała Wojaczka, który był tutaj już taką legendą wtedy dla tego środowiska. Jak wymieniałem tych największych, to oczywiście nie można tutaj pominąć Rafała Wojaczka, którego błysk, światło, taka jasność biła już na całą Polskę, mówiło się o nim jako o wielkiej legendzie polskiej literatury. Wspólnie wędrowaliśmy, zresztą mieliśmy jak gdyby podobny los, dlatego że on również nie miał stałego miejsca zamieszkania, błąkał się po sublokatorkach, bo ja po tej sublokatorce, w której mieszkałem na początku, znalazłem później trochę inną, trochę lepszą i trochę bardziej ciepłą. Rafała też, jak poznałem, to też z Rafałem wędrowaliśmy od klubu do klubu wieczorami czy nocami. Ogromnie dużo prowadziliśmy ważnych, ciekawych rozmów. To był fascynujący poeta i fascynujący człowiek, niezwykły. Z dużym entuzjazmem mówię o nim i o jego poezji.

Artur Kłus: I wspomina pan na przykład w swoich wspomnieniach, że właściwie od 1972 roku to środowisko wrocławskich twórców jest przez pana dobrze już rozpoznane. I wspomniał pan też o Rafale Wojaczku i o tym, że prowadziliście i rozmowy, i to życie, nazwijmy to, literacko-nocne. To chciałem zapytać, jak pan wspomina ten Wrocław i to środowisko, te spotkania, tę atmosferę twórczą? O to bym chciał jeszcze zapytać.

Stanisław Srokowski: Tak, więc z jednej strony to był okres ciężki, bo wiadomo, dla mnie osobiście to był okres bardzo trudny, bo za mną ciągle szła jeszcze ta informacja czy nawet, po trosze mała legenda, że jestem niebezpieczny, bo brałem udział w wydarzeniach marcowych i trzeba na mnie uważać. To było jedno. Ale z drugiej strony, kiedy się znalazłem tutaj, to już miałem, że tak powiem, na dotknięcie ręki, na wyciągnięcie ręki tych wszystkich, których sława się już roznosiła wtedy po Europie, dramaturdzy, reżyserzy, aktorzy, wielcy, to ja już ich miałem po prostu obok siebie. To nagle, widząc te wielkie postacie, czułem się jak gdyby trochę w dostojeństwie pewnym znalazłem się wśród nich. To była ta taka jasna, ciepła, a nawet bardzo taka życzliwa atmosfera, bo to byli bardzo często otwarci, szczerzy ludzie, którzy rozmawiali o tym, co ich dręczyło, szczególnie na przykład w Teatrze Laboratorium, kiedy wychodzili ze swoich spektakli, przychodzili do Klubu Związków Twórczych albo do Klubu Dziennikarzy i przy kieliszku wódki bardzo często opowiadali, jakie dręczą ich pytania, jakie mają wątpliwości, jak sobie radzą ze swoją pracą twórczą, tak że my rozmawialiśmy głównie o tych sprawach środowiskowych, twórczych, literackich, artystycznych, i to mnie oczywiście bardzo mocno wciągało. Ja nawet napisałem później taką książkę, która opowiada o tamtym czasie. Jak sobie przypomnę tytuł, to powiem. W każdym razie to był ten czas, który bardzo mocno na mnie podziałał, ale z drugiej strony wiedzieliśmy, i ja wiedziałem przede wszystkim, że bezpieka czuwa. Był taki słynny pan Stefan, znaliśmy go tylko z imienia, i to się powszechnie mówiło: „Jest pan Stefan albo go nie ma". Jak jest pan Stefan, to wiadomo, że pan Stefan jest jawny, a obok pana Stefana na pewno tutaj jest kilku innych niejawnych ludzi z bezpieki. I pan Stefan się zawsze pojawiał tam, gdzie byli artyści. Jak tylko się pojawili artyści w Klubie Związków Twórczych, to na pewno się pojawił pan Stefan. Jak się pojawili twórcy w Klubie Dziennikarza, to się pojawił pan Stefan. I co ciekawe, to była taka postać… ja go osobiście nie znałem, ale nawet powiedziałbym, że uciekałem od niego, bo wiedziałem kto to jest, ponieważ to była powszechna opinia, że to jest człowiek z bezpieki. I on tego nie krył. On mówił: „Ja jestem z bezpieki, ale nie bójcie się, ja jestem taki łagodny, ja tylko chcę z wami porozmawiać, nie bójcie się, nie będę donosił, nie będę nic", ale wiadomo, że robił wszystko, co do niego należało. W każdym razie z widzenia go znałem, bo mi powiedziano: „Aa, jest pan Stefan. No tak, pan Stefan jest, czyli wiadomo…", ale było wiadomo równocześnie, że obok pana Stefana są inni agenci, którzy się nie ujawnili. Tak że my mieliśmy poczucie, my, pisarze, artyści, twórcy, aktorzy, reżyserzy,

mieliśmy poczucie, że jesteśmy nieustannie obserwowani. Ale był taki pewien trend, powiedziałbym, taka stopa ironii, taka stopa groteski, takiej, powiedziałbym, trochę satyry, kpiny, żartu: „No dobrze, wy tutaj jesteście, my wiemy, że wy jesteście tutaj, że wy bezpieka jesteście, my wiemy o tym, ale to nam nie przeszkadza, my będziemy o swoich sprawach mówić, bez względu na to, czy wy jesteście czy nie". Było coś takiego. Nie ukrywaliśmy, że mamy takie dylematy, że mamy takie problemy, że walczymy z tym, że chcemy pokazać tamto. I oni niestety w tym uczestniczyli. To nie było tak, że była tajna bezpieka, która ukrywała się i my tak cofaliśmy się gdzieś tam po kątach, szeptaliśmy, nie, to było otwarte. Siedzieliśmy przy stolikach, tak jak ja z panami w tej chwili siedzę, tutaj były pełne stoliki alkoholu i gadało się po prostu. A że oni tam siedzą, no to niech siedzą, mój Boże. Oni wypełniają swoją rolę. To była taka trochę komitywa żartobliwa. Niby wszystko o sobie wiemy, ale oczywiście sprawy takiej głębszej natury, no to tego się nie ujawniało. Na przykład nikt nie wiedział o tym, że ja działam. Nikt o tym nie mógł wiedzieć, bo ja nigdy tego nikomu nie powiedziałem. Poza tą grupą, która była wtajemniczona oczywiście. Tak że to było jak gdyby takie drugie dno. Ja byłem tam w tej ciemnej sferze tego życia, a reszta to toczyła się jawnie. No oczywiście zdawałem sobie sprawę, że jestem nieustannie na obserwacji, a jednym z dowodów tego to był fakt, że któregoś dnia otrzymałem wezwanie z komendy wojewódzkiej, komendy wojewódzkiej milicji, z bezpieki, że chce ze mną rozmawiać jakiś tam przedstawiciel. I to otrzymałem oficjalną drogą, poprzez mojego szefa, który mi powiedział: „Czekają na ciebie tam i tam, musisz pójść i musisz im odpowiedzieć na pytania, które ci będą zadawać". I rzeczywiście poszedłem tam na to spotkanie wtedy i pan, nie pamiętam jego imienia, nazwiska, był bardzo miły, bardzo życzliwy, powiedziałbym, taki nawet współuczestniczący w rozmowie tak aktywnie, nie sztywno, nie daleko, tylko tak jak „brat łata", chciał się pokazać jako człowiek taki bardzo życzliwy, i mówi: „Proszę pana, my o panu wszystko wiemy, znamy pana od Legnicy, znamy pana historię legnicką, nic się przed nami nie da ukryć. No ale na Boga, niech pan zrozumie, jeżeli w panu jeszcze tkwią jakieś tam antykomunistyczne złogi, to niech się pan ich pozbędzie, no przecież pan zdaje sobie sprawę, że to jest ustrój nie do obalenia. Na kogo wy się porywacie? Pan nie wiedzie tej armii naszej? Nie widzi pan tych czołgów naszych, tej armii, tego wszystkiego? Bez sensu to wszystko, co robicie". I po prostu ostrzeżenie było. Tak jak były te ostrzeżenia w Legnicy: „Niech pan tego nie robi, bo to, to i to", tutaj było to samo ostrzeżenie. Była taka metoda pierwszego ostrzeżenia, która miała na celu zahamowanie postępu wejścia w głębsze struktury podziemne. I oni chcieli mnie ocalić od wejścia w podziemne struktury, nie wiedząc o tym, że ja już w nich jestem dość głęboko. Bo tego nie wiedzieli. Wiedzieli o tamtym poprzednim moim, ale tego, co teraz, to już nie.

Artur Kłus: Z pana książki wyłania się taka tragiczna postać, ale wydaje się, że ważna dla pana, czyli Henryk Worcell, którego też pan namawiał na przykład do wspomnienia o Witkacym, Nałkowskiej, Gombrowiczowej, czyli jego znajomości, ale też i same dzieła, Zaklęte rewiry to była chyba najpopularniejsza powieść, więc znał go pan dobrze, ale to jest postać tragiczna. I jak pan wspominał, to też jest ważna postać dla Wrocławia, tutaj literackiego.

Stanisław Srokowski: Tak, nie ukrywam, że z Henrykiem Worcellem łączyły mnie przyjacielskie stosunki. On był dla mnie bardzo ważny, bo to był autentyczny, powiedziałbym, z krwi i kości pisarz. Pisarz o bardzo dużym talencie. I ja się z nim zaprzyjaźniłem, tak jak tylko się można zaprzyjaźnić, z człowiekiem dużo starszym od siebie, ode mnie, ale bardzo dla mnie życzliwym, bardzo mi przyjacielsko oddanym, i prowadziłem z nim długie, wielogodzinne przez lata rozmowy w jego domu, w moim domu, w klubach, na spotkaniach autorskich. To był autor nie tylko Zaklętych rewirów, ale także Widzę stąd Sudety, Najtrudniejszy język świata i paru innych świetnych, do tej pory bardzo cennych

książek. I do głowy by mi nigdy nie przyszło, że on był agentem. Nigdy nie tworzył nawet takiego cienia podejrzenia, że na przykład wypytuje mnie o coś takiego, co mogłem snuć podejrzenia, że chodzi mi o wydobycie ze mnie jakichś informacji. Nie, nic takiego nigdy nie było. Ja się o tym, że on został, był agentem, dowiedziałem dopiero tak samo jak o innych. Na przykład Mieczysław Orski, redaktor naczelny obecnej „Odry", że jest agentem, ja się o tym wszystkim, jak wielu innych zresztą, dowiedziałem dopiero wtedy, kiedy przygotowywałem materiały do pisania tej książki Życie wśród pisarzy, agentów i intryg. To wtedy dopiero, kiedy wszedłem do IPN-u i zobaczyłem sterty materiałów i donosów na mnie, no to byłem przerażony. Mój Boże, w jakim ja środowisku jestem. Całkowicie zmieniła się moja perspektywa widzenia tego środowiska. Ten przyjaciel, okazuje się, agent, ten przyjaciel, okazuje się, agent, ten znajomy, okazuje się, agent, ten dobry kolega, okazuje się, agent. Na Boga, wokół pełno. A jeszcze jacyś dalsi. Tu ktoś z opery, tutaj ktoś z teatru, tutaj ktoś... Henryk Tomaszewski na przykład, prawda. Henryk Tomaszewski, szef Pantomimy Wrocławskiej, jeden z największych agentów. Dzieduszycki, jeden z najbardziej obrzydliwych agentów. Mój znajomy także, Wojciech Dzieduszycki. Więc pokazuję państwu tutaj całą panoramę z bardzo zróżnicowanego środowiska. Z jednej strony uczciwi, oddani artyści, szlachetne postaci, dumne moralne postawy, ale z drugiej strony potwory, które gdzieś tam za naszymi plecami urządzały sobie podjazdy polityczne i agenturalne. I to był dramat tego środowiska. Więc środowisko jak gdyby miało kilka obliczy. Było to środowisko jasne, światłe, wielkie, kiedy budowało się potężne wartości intelektualne, duchowe, moralne, i środowisko, które miało takie gnidy moralne jak Dzieduszycki, czy Orski, czy kto inny jeszcze, prawda. Były ich dziesiątki niestety. Tak że to było środowisko bardzo zróżnicowane. Ale o tym wtedy ja nie wiedziałem. Ja wiedziałem dopiero przy pisaniu tej książki, jak się odsłaniały te karty kolejne. I to było dla mnie dramatem, bo to byli bliscy ludzie.